

WOJCIECH OLECKI

Plut. Wojciech Olecki, 46 lat, st. posterunkowy Policji Państwowej, żonaty.

Po złożeniu broni 22 września 1939 r. przebywałem w domu we Lwowie. 10 kwietnia 1940 r. w nocy o 0.30 przyszło do mego mieszkania dwóch NKWD-zistów i po przewróceniu wszystkich przedmiotów, kazali mi się ubrać i, nie dając niczego zabrać, wyprowadzili na ulicę wśród płaczu żony i córki. Przed domem stał samochód, do którego kazano mi wejść. Za chwilę przyprowadzili trzech moich kolegów, a to st. przodownika Pagacza, st. posterunkowego Gzyra i st. posterunkowego Tomaszewskiego, i odjechali z nami do więzienia przy ul. Kazimierzowskiej – „Brygidek”.

Po przywiezieniu do więzienia wsadzono nas do pokoju, gdzie panował taki ścisk, że nie było mowy usiąść, lecz staliśmy na nogach do późnego wieczora, bez otrzymania jakiegokolwiek pożywienia. Następnie rozpoczęli rewizję osobistą. Znalezione przedmioty wartościowe, jak zegarek i obrączka ślubna, odebrano mi i już więcej nie otrzymałem ich z powrotem, natomiast książeczka do modlitwy czy krzyżyki były wyrzucone z pogardą do śmietnika i wołano: „To polski Bóg!”. Po rewizji zaprowadzono mnie do 64 pokoju (celi), w którym to (rozmiaru pięć na cztery metry) mieściło się 54 ludzi. Byli to oficerowie Wojska Polskiego, urzędnicy państwowi, policjanci. Po kilku dniach w nocy zabrano mnie na przesłuchanie. Proponowali mi wypuszczenie na wolność i że otrzymam pracę, jeżeli powiem, który z kolegów posiada broń i gdzie ją [ukrył], czy miałem konfidenta itp. Gdy im nic nie powiedziałem, zaczęli mnie wyzywać obscurnymi słowami. W końcu, gdy i to nie pomogło, zaprowadzono z powrotem do celi. Po kilku dniach na nowo w nocy zabrali mnie na przesłuchanie. Słuchano mnie również w ten sposób, powtórzyło się jeszcze jedno przesłuchanie, też w nocy, po dwóch godzinach od poprzedniego. W końcu dano mi spokój.

W czasie mego pobytu w tym więzieniu dochodziło do strasznych scen. Co pewien czas strzały na podwórku więzienia, to okropny lament, krzyk, tak że wszyscy zrywali się ze snu, jeżeli było to w nocy. W celach powietrze było niemożliwe, spacer trwał ok. 20 min na dobę. Co parę dni przeprowadzali rewizję osobistą, rozbierając nas do naga. Spanie na podłodze. Wszystkie nasze własne ubrania, które przedstawiały wartość, zabrano nam.

Jednego dnia NKWD-zista wylazł wieżę kościółka więziennego i począł młotem bić w krzyż. Była to straszna scena, płakaliśmy wszyscy w celi. Pewnego dnia widziałem przez kraty spacerującą kobietę z dwojgiem małych dzieci, które prowadziła za ręce.

Po tych przejściach 14 lipca 1940 r. zawieziono [mnie] na stację Kleparów i wsadzono do wagonu. Zebrali cały transport, nasza ludność cywilna przyglądała się z daleka, gdyż przy pociągu była silna straż NKWD, nie zezwalała zbliżać się, żeby mogli poznać znajomych wśród nas. Cały transport skierowano do Horodni koło Kijowa. Obsada transportu składała się z silnej eskorty, czterech karabinów, reflektorów i psów.

Po przybyciu do więzienia w Horodni wsadzono nas do ciemnej celi, gdzie słońca nigdy nie było, ponieważ okna były zabite koszami. Budynek wilgotny, pod budynkiem wzdłuż przechodził kanał kloaczny. Życie marne: spanie na podłodze bez sienników, pomoc lekarska pod pse (lekarstw nie było), stosunek NKWD do nas, Polaków, był obscurny – stale krzyczano: *Padochniesz zdieś, Polsczi użę nie budiet, ty polska swołocz* itp. W pokoju rozmiarów trzy na cztery metry było nas 17 ludzi, wszyscy Polacy – oficerowie, urzędnicy, policjanci oraz rolnik Polak. Byli to ludzie niebezpieczni dla Rosjan.

Po przesiedzeniu w tym ciemnym, wilgotnym i zimnym dostałem się do karceru za to, że pobiłem emerytowanego przodownika policji Gołębiowskiego z Mszany koło Lwowa, który stale wyzywał rząd polski, że to sami złodzieje, naród polski gnębili ze swoją kliką oficerów. Byliśmy obydwaj w tym karcerze, na betonie, bez okna, wśród zimy (mrozu ponad 30 stopni), przez 24 godziny tylko w marynarce, bez żadnego jedzenia. Myślałem, że skończę życie.

5 marca 1941 r. wezwano mnie do kancelarii celem odczytania wyroku ośmiu lat. W tym czasie w moich aktach zauważyłem list do mnie od żony, który otrzymałem do przeczytania. Tu dowiedziałem się dopiero za cały czas mego pobytu w więzieniu, że żonę i córkę wywieźli w trzy dni po moim aresztowaniu. Pisała, że była w szpitalu przez pięć miesięcy i dalej chodzić nie może, nie ma z czego żyć ani też mieszkania zapłacić, żyje w strasznej nędzy.

11 marca 1941 r. wywieziono mnie transportem do lasów na Północ, Komi ASRR, Czibiu – Krutaja, 8. Łagpunkt, i zakwaterowano w barakach drewnianych, zimnych, brudnych, nie opalanych, gdzie było pełno much i komarów, tak że nie można było uleżeć letnią porą, zaś zimą z zimna. Praca odbywała się od szóstej rano do szóstej wieczór, to jest 12 godzin, w lesie przy wyrębie, w śniegu na półtora metra. Praca była ciężka, norma niemożliwa do wykonania – na trzech ludzi dwadzieścia na siedemnaście metrów kwadratowych wycięcie lasu, jakkolwiek on był, oczyszczony, złożony, gałęzie spalone. Do pracy chodziło się, dopóki sił starczyło, osiem kilometrów od obozu, w gumowym obuwiu ze starych opon. Jeżeli ktoś nie wyrobił normy, wsadzany był na całą noc do karceru, a rano z powrotem do pracy. Ja przesiedziałem jedną noc, gdzie po wprowadzeniu do tego drewnianego karceru w ziemi rozebrano mnie do naga i tak komary gryzły całą noc. Po wyjściu udałem się do lekarza, który nie dał mi zwolnienia. Było to już wtedy, gdy opadłem z sił, nogi miałem spuchnięte i otwarte rany (cięża) [cynga]. Wyżywienie: dwa razy dziennie po pół litra zupy owsianej, a to przed pracą i po pracy, i pięćset gramów chleba dziennie. W tym obozie, tj. 8. łagpunkt na linii Czibiu–Krutaja, który ze mną pracował aż do zupełnego wyczerpania i w końcu [miał] silną dyzenterię, nie miał sił chodzić, leżał na podwórzu obozu w brudzie, którego gryzły komary i muchy, aż 4 lipca 1941 r. zmarł – Kaczmarek Leon, emerytowany posterunkowy Policji Państwowej, zamieszkały: Lwów, Lewandówka. Został pochowany 5 lipca 1941 r. w lesie za obozem.

Ja byłem też zupełnie wycieńczony, gdyż za pracę nie otrzymywałem żadnego wynagrodzenia, łączności z rodziną nie miałem.

Aż nadeszła chwila 8 sierpnia 1941 r., zabrano mnie z tego obozu do Czibiu, tam oczekiwaliśmy na zwolnienie. W tym czasie werbowali z naszych Polaków na wyjazd do robót. 5 września 1941 r. odesłali mnie wraz z innymi kolegami do pociągu, był cały transport, i tegoż dnia wyjechaliśmy do Tocka [Tockoje] do armii polskiej. 18 września tego roku byłem na miejscu, po przyjeździe komisji lekarskiej zostałem przydzielony do szwadronu żandarmerii w Tockoje.